

Czy klimat da się ochronić?

Pytanie nie jest błahe, ponieważ trwający nieprzerwanie wzrost emisji dwutlenku węgla i osiągnięcie w 2014 roku jego rekordowego stężenia 400 PPM w atmosferze stawia pod znakiem zapytania realność dotychczasowych starań. Może trzeba się pogodzić z tym, że nic się nie da zrobić i dać za wygraną?

Zacząć jednak trzeba od stwierdzenia, że dotychczasowe starania były wysoce nieskuteczne, a więc nie mogły przynieść zadowalającego wyniku. Jak tylko UNFCCC (Konwencja Klimatyczna, zob. *Aura* 2/2015) weszła w życie, zaczęto zwoływać coroczne konferencje sygnatariuszy. Pierwsza z nich, zorganizowana w Berlinie w 1995 r. (tzw. COP-1) przyjęła dość niefortunne postanowienie, zwane Mandatem Berlińskim. Głosi ono: "Strony powinny chronić klimat dla obecnych i przyszłych pokoleń ludzkości sprawiedliwie i zgodnie z zasadą wspólnej lecz zróżnicowanej odpowiedzialności (*common but differentiated responsibilities*, CBDR), a także stosownie do tego, co każdy może. Tak więc kraje rozwinięte gospodarczo powinny przewodzić w walce ze zmianami klimatycznymi." Sama "zasada wspólnej lecz zróżnicowanej odpowiedzialności" (CBDR) jest sensowna, ale niestety została wnet doprecyzowana jako zwolnienie krajów spoza Aneksu I z obowiązku redukcji emisji dwutlenku węgla (a nawet raportowania jej wielkości). Przy tym zwolnienie to jest bezterminowe, zaś spis krajów znajdujących się w Aneksie I został ustalony na podstawie poziomu rozwoju gospodarczego odnotowanego w latach 1970-tych.

Kiedyś emisja z krajów Aneksu I była dominująca. Ale od dawna już nie jest. Dominuje emisja spoza Aneksu I, a – co ważniejsze – kraje te wykazują największy jej "przyszłościowy" potencjał. Innymi słowy, nawet gdyby kraje Aneksu I przestały emitować, globalna emisja rosłaby nadal i to szybko. W tej sytuacji udawanie, że ochrona klimatu zależy od tego, co zrobią kraje Aneksu I jest rażąco sprzeczne z faktami. Ochrona klimatu wymaga, aby emisje przestały rosnąć tam, gdzie one rzeczywiście rosną, a nie tam, gdzie są ustabilizowane, a nawet spadają.

Aby było skuteczne, porozumienie w sprawie ochrony klimatu musi obejmować wszystkie kraje, a nie tylko te, które przed kilkudziesięciami laty zostały uznane za rozwinięte gospodarczo. Oczywiście CBDR implikuje, że ci, którym powodzi się lepiej powinni ponieść większy ciężar ochrony. Ale to nie oznacza, że tylko sami mają ograniczać emisję. Jak jednak praktycznie można ponieść "większy ciężar ochrony"?

Nie może on polegać – jak dotąd – na tolerowaniu wzrostu światowej emisji, która pochodzi skądinąd. Musi on wszakże polegać na sfinansowaniu ograniczenia emisji tam, gdzie to ograniczenie jest najmniej kosztowne, a niekoniecznie u siebie. Wielu osobom wydaje się to nieosiągalną mrzonką. Wcale tak być nie musi.

Od dawna kontemplowany jest jednolity przydział limitów emisji na głowę mieszkańca. Za punkt wyjścia mógłby mieć aktualną emisję dwutlenku węgla, powiedzmy, 42 miliardy ton. Każdy z krajów o numerach $i=1, \dots, k$ miałby jakiś limit x_i , byleby ich suma $x_1 + \dots + x_k = 42$. Zakładając w przybliżeniu, że ludność świata liczy sobie 7 miliardów, to na jednego mieszkańca musiałoby średnio przypaść 6 ton. Jeśli tak, to limity przydzielone poszczególnym krajom powinny wynieść $x_i = 6L_i$, gdzie L_i stanowi ludność i -tego kraju.

Limit 6 ton na jednego mieszkańca to mniej więcej tyle, ile wynosi emisja w przeliczeniu na głowę w Chinach. W Europie jest ona niemal dwukrotnie wyższa, zaś w krajach słabo

rozwiniętych – znacznie niższa. Gdyby więc uczynić te limity zbywalnymi, to kraje europejskie musiałyby brakującą część od kogoś dokupić, aby wyemitować tyle, co dotąd; kraje słabo rozwinięte gospodarczo mogły swoją nadwyżkę sprzedać; zaś Chiny miałyby akurat tyle, ile potrzeba, żeby usprawiedliwić aktualną emisję. Można by później limit przypadający na jednego mieszkańca stopniowo zmniejszać tak, aby w perspektywie kilkudziesięciu lat emisję wyeliminować całkowicie.

Jest to bardzo prosta zasada, która wydaje się dobrze pasować do CBDR – odpowiedzialności wspólnej, choć zróżnicowanej, nakładającej na bogatszych większy ciężar, niż na ubogich. W krajach, w których brzemień nierozwiązanych problemów cywilizacyjnych jest tak olbrzymie, że trudno wymagać od rządów, by planowały na więcej niż jeden rok naprzód, skuteczna ochrona klimatu może się jawić jako zadanie drugoplanowe. Jednak od krajów, gdzie żyje się lepiej można oczekiwać, że refleksja nad tą ochroną będzie dojrzała. Niestety nie widać symptomów poprawy. Osoby lub instytucje deklarujące zainteresowanie ochroną światowego klimatu zabiegają o to, żeby coś się działo, ignorując fakt, że ich działania stwarzają pozór poprawy, a w istocie prowadzą do pogłębienia się problemu. Zbyt mało jest podmiotów, które jasno stawiają sprawę, że potrzebne są limity emisji obowiązujące wszystkich, choć równocześnie wskazują, że bogatsi muszą ponieść większy ciężar finansowy tej ochrony. Nie wystarczy, żeby bogatsi byli bardziej obciążeni; to obciążenie musi służyć ograniczeniu światowej emisji, a nie – jak dotąd – jej ekspansji w krajach spoza Aneksu I.

Alternatywnych sposobów przydziału emisji można wymyśleć bardzo wiele. Niektórzy eksperci proponują rozdzielanie emisji w proporcji do PKB. Taki system dawałby Europie i Ameryce Północnej (kosztem krajów najuboższych) znacznie większy przydział, niż sygnalizowany powyżej. Ale jednocześnie byłby on rażąco sprzeczny z filozofią CBDR, ponieważ bogatsi powinni przyjmować raczej większe niż mniejsze zobowiązania do redukcji emisji. Wystąpienia na kolejnych konferencjach sygnatariuszy Konwencji Klimatycznej nie pozostawiają wątpliwości, że CBDR jest traktowana jako nienaruszalna. Szkoda, że uczestnicy tych konferencji nie podkreślają, iż zasada ta powinna być rozumiana jako konieczność ponoszenia przez bogatych ciężaru poprawy, a nie ciężaru działań, które do tej poprawy nie prowadzą.

Zasada "wspólnej lecz zróżnicowanej odpowiedzialności" jest rozsądna. Kłopot dopiero zaczyna się wówczas, gdy próbuje się ją interpretować jako zwolnienie krajów spoza Aneksu I z ograniczania emisji. Skoro emisja w tamtych krajach rośnie, to próbuje się rozpaczliwie wymyślać jakieś alternatywne sposoby na ratowanie klimatu. Jednym z pomysłów była tzw. geo-inżynieria, polegająca na rozpylaniu w atmosferze substancji zanieczyszczających, żeby ograniczyć promieniowanie słoneczne. Przez wiele lat służyły temu poważne badania naukowe. Dopiero niedawno IPCC (zob. *Aura* 3/2015) odciął się od tej ideologii. Nadal jednak pojawiają się inne równie absurdalne pomysły, np. aby w krajach bogatych wyłapywać z atmosfery dwutlenek węgla emitowany w krajach uboższych albo ze "swoich" spalin i zatłaczać go pod ziemię. Dopiero w 2014 rząd norweski podjął decyzję, aby więcej nie subwencjonować takich projektów, bo nie rozwiązują problemu, a tylko pochłaniają pieniądze podatników.

Klimat da się ochronić. Ale – wbrew temu, co wiele osób myśli – nie da się go chronić przez ograniczenie emisji dwutlenku węgla u siebie. Dwutlenek węgla jest gazem, który miesza się w całej atmosferze i sumaryczna emisja ze wszystkich krajów powinna spadać, żeby stężenie na świecie przestało rosnąć.